Nr. 41. **Rok 15.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 7. Października 1848.



Kaplica najstarsza w Lendzie, zdjęta r. 1845.

Mowa Lelewela, miana w Bruxelli po ostatnich wypadkach w kraju.

„Cześć dniowi! cześć sprawie Polskiéj! cześć jéj męczennikom!

„Droga nam ojczyzno! kirem grobowym pokryta, tyś w wielkim smutku, od niewypowiedzianéj żałości.

„Przywarło się wieko naczynia wiary i nadziei naszéj, znikło złudliwe światło, przez szczeliny do twego oblicza przedzierające się, jakim połyskiwał przed omamionym światem twój znikomy byt. Kraków stracił miano wolności i swobody.

„Nie troszcz się, tyś matka wiernych synów, mnogich, miłujących cię dzieci, które żyją, powołując bratnie ludy do wspólnéj sprawy: w nich świat ciebie widzi.

„Ojczyzno! Tyś w smutku i żałobie, cios za ciosem dotyka twe dzieci, nawał krzywd woła o pomstę, tłumy męczenników wyzionęło duszę, jęczy w katuszach. Pociesz się! dla ciebie cierpią; przyciśnij ich do łona, a bądź pewną, że liczba ich wzrastać nie przestanie, dopóki cię nie podźwigną.

„Matko ojczyzno! Ty bolejesz, bo wierne dzieci twe cierpią, więzami obciążone; bo mordowani od obcych i swoich: brat brata gubi, zabija. Zbójecką dłonią w zaślepieniu, za krzywdy swe, zapamiętałe rzezie roznosi. Chłop ciemny, obłąkany, rzeczy nierozumiejący, niegodny syn Polski, krwią ślachecką ziemię jéj oblał. Przebacz mu ojczyzno, bo nie wiedział co czynił. Odpuść im Ojcze wiekuisty, bo nie wiedzą co czynią. — A patrz matko, patrz; oto syny twe ślachetne, wiernie carom i obcym królom służące, od nich tytułami, dostatkami, honorami opatrzone, rozumu przebiegłego, zaprzedani, dybią na zatratę braci, niezmordowanym w ciemnicach szpiegowskich trudem, wydają tysiączne ofiary na dręczenie sroższe od zabójczego mordu, bezecni zdrajce, syny wyrodne. A liczba ich, a przeciąg czasu, a przestrzeń ich zbrodniczych zabiegów od kończyn do kończyn wieku i rozległéj Polski. Wszędzie ich pełno, wszędzie z ich ręki padają ofiary. I ileż to możniejsi stósunkowo od liczby zbójeckiéj! i ileż możniejsi bezwarunkowie obliczeni! Okropności!

„O Boże wszechmogący! ratuj Polskę! ześlij anioła wytępiciela z mieczem, aby obleciał wszystkie zakątki ziemi naszéj i w pień wyciął to ohydne i bezecne plemię śpiegów, zdrajców. A ty droga ojczyzno, nie licz wyrodnych synów, polegaj na wiernie i szczerze do ciebie przywiązanych, sercem i duszą. Żyje Polska cnota, męztwo, prawość i dzielność w kmiecych chatach, przy warsztatach i pługu, w ustronnych ślachty zagrodach. Natchnij matko miłujących cię synów braterstwem, spowinować ich krew twém słowem macierzystém, a pocieszoną, dźwignioną i rozradowaną będziesz.

„Pociesz się tym kochana ojczyzno, bo nie koniec tych trosków i boleści. W ciemnym bez światła spoczynku twym, przywartym zimnym głazem, słyszysz nad twémi niedolami i nad ostatnim zadanym ci ciosem, wzruszenia ludów, zgiełk dyplomatyczny, tentent rozpierzchłych synów twoich.

„Wiesz, że każde drgnięcie serca twego, jest biciem krwi w żyłach ludów wolności upragnionych. Głos twój przedziera się do głębi dusz ludów, powołuje do czynu, do wspólnego dzieła ludzkości; martwieje tam, gdzie rachunek zysku, przewrotny rozum do podstępów i zdrad, powabne słowa, pakta, traktaty wymyśla. Twoja puścizna do ostatka poszarpana, znieważają cię targi, frymarki mniemanych z twymi oprawcami opiekunów, dla pisania protestacyj czczych: a twoi rozpierzchli po świecie synowie nad tém rozumują! Wzajemne nienawiści, zmiennictwo, potępienia, złośliwe i kłamliwe oszczerstwa i obelgi, zawrzały jak w kotle piekielnym; pod hasłem zgody rozpalone, zażarte rozerwanie, pakta sprzecznych żywiołów, liczenie na czyn paralityczny, odmęt, zawrót myśli i pojęcia. Wśród żałoby; pląsy na ucztach, wywoływanie szyderczo świętości ćwiertujących Polskę traktatów. Po stuletnich okrutnych zawodach na drodze dyplomacyi, wyrozumowane podobieństwo że dopisze. Zadrzyj Polaku nad swoim rozumem! O! wzniosą się szańce Huningi, zaludnią się rodem Polskim kolonie Algierskie, zmarnuje się część tułactwa, a oszukanym, oszukującym, nim zstąpią do grobu i po zgonie w dodatku, przybędą złorzeczenia i przekleństwa.

„Pewien zawołany filozof Polski dowodzi, że rozum ludzki przerozumować zdolny wszystko złe, przewrotne, niecne, na dobre; gotów dopuścić się wszystkiego, wszelkiéj zdrożności, wszelkiego przestępstwa: serce zaś ludzkie, je-

dynie do samych usposobione wzruszeń, uczuć, powoduje do uczciwych spraw, ruchów, dzieł; nierostropne jest, ale prawe i wszystko zdolne.

„Młodzi Polska! na miłość ojczyzny zaklinam cię, wyrzecz się rachubnych mędrków, zawodnych i obłudnych rozumowań; radź się serca swego, swém sercem się powoduj, a staniesz się śmiałą i nieustraszoną, zamiast być niewcześnie ostrożną, lub lękliwą; przedsiębiorącą, a nie wahającą się; wytrwałą, a nie pierzchliwą. Słuchaj głosu serca, a dopniesz swego, wszystkiego dokonasz, ojczyznę ludu Polskiego podźwigniesz.

„Na twém sercu jéj odrodzenie i przyszłość polega, w tobie jedyna nadzieja.

„Cześć dniowi, cześć sprawie Polskiéj, cześć jéj męczennikom i pokoleniowi, co ją podźwignie!“

List Króla Władysława IV. do Jakuba Rozdrażewskiego.

I.

Władysław Czwarty, z Bożéy łaski Król Polski, Wielkie Xiążę Lithewskie, Ruskie, Pruskie, Mazowieckie, Żmudzkie, Inflantskie, Smoleńskie, Czerniechowskie, etc. Szwedzki, Polski, Wandalski, Dziedziczny Król.

Urodzony wie. Nam miły! Odnieśliśmy na przeszłym Seymie mało nie ze wszystkich Woiewództw obietnice, isz rationes Nasze prywatne, któreśmy długami pod przeszłe woyny na różne, a wczesne apparaty woienne obciążeli, uprzątnąć z chęci swoiéy miały. Tagże y teras iesteśmy, że na tym przyszłym Seymie ras oświadczony Nam życzliwości nie cofną: y owszem, aby tym łacni necessitas ta y desiderium Nasze na Seymie skutek swóy wzieło. Żądamy Wier. Tw., abyś z osobliwéy swéy ku Nam chęci pod przyszły Seymik serca Braci y Obywatelów tamecznych Woiewództw do tego sposobił, aby Posłowie, których obiorą, iusz z gotowymi sposobami y umowami instructi byli, a nie tu dopiero o nich się umawiali, boby się inaczéy sprawom innym publicznym sieła czasu umknęło. Zostaiemy tedy upewnieni, że Wier. Twą w téy mierze zechcesz swoią ku Nam życzliwością, przykładem zacnych przodków swoich, którzy przeciwko Królom, Panom swoim, życzliwością i wszelką usługą certabant praeire, i że w teraźnieyszym żądaniu Naszym ukontentowani za staraniem i pracą Wier. T. zostaniemy. W czym szerzéj Wielebny Xiądz Wacław Leszczyński, Proboszcz Łenczycki, któregośmy umyślnie do Wier. Tw. wyprawiali, zniesie się z Wier. T., któremu abyś zupełną dał we wszystkiém wiarę, żądamy. Życzymy zatym Wier. T., przy ofiarowaniu chęci Naszéy, dobrego od Pana Boga zdrowia. Dan w Warszawie XXIX. Msca Listopada Roku Pańskiego MDCXLII., Panowania Naszego Polskiego X., Szwedzkiego XI roku.

Vladislaus Rex.

Wycieczka nad Wartę.

(Ciąg dalszy.)

„Otóż“ rzecze Xawery do mnie, „tyś amator starożytnych rzeczy — Lenda nie daleko, tylko mila — pojedźmy oglądać kościół i klasztór, nie pożałujesz tego.“ — Właściwie chciałem na to dzień cały poświęcić — ale mnie zbili z terminu tą uwagą — że lepszy wróbel w ręku, niż gołąb na dachu — że nie wiedzieć, czy się doczekam jutra, czy czasem kibitka nie przyjedzie po mnie, nim okiem zobaczę klaszór Cystersów nad Wartą, i tym podobnémi słowy.

Zmiękczony taką mądrością przystałem na wszystko i za chwilę już wózek nasz pędził ku Lendzie, drogą wysadzoną wierzbami.

Z daleka wieże kościoła widać, niby na górze stojące. — I w saméj rzeczy jedzie się pod górę — jednak przybywszy do wsi, droga spuszcza się ku Warcie, nad którą gmach wystawiony, właściwie w dole się znajduje.

Wjechawszy do stajni gościnnéj i opatrzywszy konie, udaliśmy się do klasztoru. Niebo tymczasem odmienną przybrało barwę. Od południa sine chmury długim pasem wzbijały się coraz wyżéj; wiatr zaczął powiewać, jaskółki i wróble niespokojnym lotem dały poznać, że przeczuwają nadchodzącą burzę. Jakkolwiek pragnąłem ochłodzenia atmosfery, tą razą jednak nie miłą w ulewie przeszkodę widząc, począłem żałować, żem się dał nakłonić do wyprawy; bo nie było na przypadek ani krytéj bryczki, ani parasolów. Darmo czas drogi, nie mając ani chwili ku straceniu, przysporzywszy kroku, stawamy przed kościołem, i zaraz na

wstępie w oczy nam wpada pomnik dosyć ciekawy, t. j. nagrobek zewnątrz kościoła, z roku 1376, ś. p. Arcybiskupa Jarosława Skotnickiego, (1) który nie kanonicznie na Metropolią Gnieźnieńską wzniesiony, według prawa kościelnego tylko po wybiciu muru (muro excusso) wniesionym i pochowanym być mógł, mimo wielkich zasług, które położył za życia. On bowiem katedrę Gnieźnieńską odbudował (żył około 1270 r.) i wielu skarbami wyposażył. Jeszcze postać jego znajduje się w jednym kancyonale pargaminowym biblioteki katedralnéj, odmalowana, wraz z kształtem ówczesnym katedry. — Nie zatrzymując się długo nad owym pomnikiem, wchodzimy do kościoła, który pięknością swą i wspaniałością architektury uderza i do najpiękniejszych w Polsce kościołów liczonym być może. Posadzka, organ wielki, niektóre obrazy (n. p. Ś. Bernard, w Rzymie malowany) i t. d., zasługują na uwagę, mimo tego, że dzisiejszy kształt kościoła datuje się z wieku zeszłego. Uprzejmym naszym przewodnikiem był ksiądz miejscowy, ostatni, jak się zdaje, Cysters, w Lendzkim klasztorze. (2) Nie było tyle czasu, aby się zająć odrysowaniem kościoła i pomników jego — ile, że więcéj byłem ciekawym na starożytne szczątki, mogące się znajdować w przyległym klasztorze, który średniowieczną swoją architekturę zachował. Otóż najdawniejszą część murów wnet spostrzegłszy, wstąpiliśmy pod przewodnictwem zakonnika do kaplicy klasztornéj, znajdującéj się obok kurytarza.

Drzwi do kaplicy były małe; wszedłszy, ujrzeliśmy się w pośród szczątków odległych wieków. Było wszystko jak za starego Mieczysława: ściany, okno, malatury, sklepienie. Kaplica o jedném oknie, nieco ciemna, wysoka, zasklepiona, mieściła w sobie oprócz mensy (ołtarza) tylko kilka gratów i szaf kościelnych; posadzka wyłamana, zniszczona, gruzem zaległa. Starożytnych ławek nic nie pozostało. Na przeciwnéj ołtarzowi i oknu stronie, skrytka odgrodzona murem i niższa parę stopni od pawimentu kaplicy. Czy to była zakrystya, czy schowanie, nie mógłem odgadnąć, tyle pewno, że naocznie uszczuplała kaplicę, już tak nie wielką. W oknie, które kształt swój osobliwy, bardzo stary, zachowało, widać niektóre szczątki szkła malowanego. Sklepienie przedzielone jest czterema żebrami, krzyżującemi się u saméj góry, nie wspartemi na żadnych słu-

---

(1) Klasztor Lendzki był w dawniejszych czasach przytułkiem Biskupów, do niego się częstokroć, dla spokojnego żywota, różni uciekali Biskupi. Tak Jan Ostrogottus, Biskup Linkopeński, ze Szwecyi z biskupstwa swego przez heretyków wygnany, w Lendzkim klasztorze żywota dokonał. Do tegoż klasztoru Lendzkiego Jarosław Skotnicki, wzmiankowany Arcybiskup Gnieźnieński, złożywszy arcybiskupstwo Gnieźnieńskie, do Lendy się udał, i tam aż do śmierci żył. Za życia wielce się dopraszał, żeby go po śmierci nie drzwiami, ale dziurą wykutą w ścianie, do kościoła wniesiono; dla tego, iż twierdził, że nie per ostium (prawnie) na arcybiskupstwo Gnieźnieńskie wstąpił: o czém Damalewicz tak napisał:

Immerito sibi concessum credebat honorem,
Emptum vel pretio, vel prece praesul bonus,
Ergo non feribus ferri, sed pariete fracto,
Ad templum fato membra soluta jubet.
O Praesul si tanta modo submissio magnae,
Mentis erit, Regni plurima templa cadent.

Na owém miejscu, gdzie był ów otwór, miała się znajdować wyryta na kamieniu opak infuła Arcybisk. *Przyp. Red.*

(2) Klasztor Lendzki, najpierwszy klasztor Cysterski w Polsce, jak świadczy Gaspar Jengelinus in lib. de originibus et progressibus Abbatiarum Cister. 1640 edito. Damalewicz w żywocie Ś. Bogumiła o klasztorze tym dosyć szerokiemi słowy się rozpisał — założony, jak wspomniał autor, przez Mieczysława 1145 r. W tym samym wieku założyli i klasztory Cysterskie w Jędrzejowie: Janicki, Arcyb. Gnieź., 1140; w Oliwie Sobiesław, Książe Pomorski, 1170; w Sulejewie; Kazimierz Sprawiedliwy 1177, i t. d. Wróćmy do Lendy. W r. 1247, Kazimierz, Kujawski i Łęczycki Książe, syn Konrada, Ks. Mazow., zawziął się za zniesienie klasztoru Lendzkiego, wałami, fossami go obwarował, lecz Bolesław, Książe Kaliski, nie mogąc téj krzywdy znieść, z wojskiem pod Lendę podstąpił, i od załogi uwolniwszy, wały i szańce z ziemią zrównał. Tak pisze Długosz w historyi Pol., pod r. 1247., i Kromer.

Dobrogost Nowodworski, Arcyb. Gnieź., za zezwoleniem kapituły nadał Lendzkiemu klasztorowi wiecznemi czasy dziesięciny w dobrach Makowinca, jako świadczą: Vitae A. Episc. Gnesn.

Roku 1287 w kościele Lendzkim Jakub Świnka, Arcyb. Gniez., konsekrował na biskupstwo Poznańskie Jana Herburta, który nastał po Janie I., zwanym Wyszkowiec, o czém pisze Zalaszowski in Vitis Episc. Posnanien.

W r. 1745 dnia 6. Maja odprawiał klasztor Lendzki solenną uroczystość, na podziękowanie Panu Bogu za szczęśliwie skończonych sześć wieków istnienia swego. Porów.: Fundacyą kościoła i klasztoru Lendzkiego, przez X. M. Kaz. Jarmundowicza. Poznań, 1745; i Starożyt. Polska, Balińskiego, Tom I., pag. 168. *Przyp. Red.*

pkach. Tam, gdzie się schodzą w krzyż, widać na okrągłéj tarczy kamiennéj herb stary (ogończyk?). Mensa, czyli ołtarz murowany, jest pokryty kamieniem, złożonym z dwu ciosów. Dębowa balka pod oknem, sięgająca od muru do muru, ma na środku znaczną wypukłość, jakoby stopień, czyli gradus; na co, nie umiem powiedzieć. Wszystko to jest stare i w pierwotnym kształcie — ciekawsze jednak są malatury ścienne (al fresco), także z owego wieku szczęśliwym zbiegiem okoliczności zachowane, które zasługują na to, aby jaki rodak, malarz, wziął z nich kopią, nim zaginą. Może to jedyne w swym rodzaju szczątki sztuki malarskiéj z wieku 12go w kraju naszym, bo chociaż nie zbywa na starożytnéj architektury szczątkach, to jednak wątpię, czy jakikolwiek u nas kościół zachował malatury tak starodawne, jak ta kaplica w Lendzie. Ujrzawszy więc ten skarb rzadki, nie mógłem się prawie doczekać chwili bliższego przypatrywania się jemu. Za pomocą kolegów wlazłszy na wierzch poustawianych przy ścianie gratów, (bo drabki nie było) zacząłem zbliska oglądać zakurzone, wytarte i uszkodzone malatury. Sklepienie wystawia niebo i rzeczy niebieskie, tudzież niektóre herby, w dosyć żywych kolorach. Jedna ściana zaś szczególnie mnie zajęła, gdyż na niéj figura w stroju ówczesnym historyczne jakieś zdarzenie wystawiała. Rosła ciekawość, gdyśmy dostrzegli napisy czarne charakterem Gockim, bardzo ściśnionemi głoskami. Ale niestety, zbywało mi na dwóch rzeczach, na jasności i czasie. Ledwom ogólny rzut oka na wszystkie cztery strony świata, raczéj kaplicy, był uczynił — kiedy się znacznie zciemniło w kaplicy. Chmury zakryły niebo, deszcz zaczął kropić, i burza pierwszemi odezwała się trzaskami gromu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Sprowadzenie Siostr miłosierdzia u św. Kazimierza w Warszawie.

(Ciąg dalszy.)

Nazbyt zręczna, nie zdradziła jednak wewnętrznego pomięszania, i z najgłębszém uszanowaniem zbliżając się do Królowéj, rzekła:

„Chciéj mi W. K. M. darować, że tak natrętnie o chwilkę drogiego jéj czasu błagam...."

Królowa stała nie wzruszona, najlżejszym znakiem nie ośmielając Anny do postąpienia bliżéj; ta odwróciła się nieco ku firance, i siląc się na uśmiech podobny dodała:

„Moja Lila miała kiedyś zaszczyt podobać się W. K. Mości — przez jakiś czas zostawiona w domu podkanclerzego, nie była w mojém rozrządzeniu — ale teraz odzyskawszy ją z inną własnością moją — poważam się...."

Anna uniosła draperyę, a niecierpliwym oczom orszaku Królowéj ukazała się dziwnéj urody karliczka, zaledwie 18 cali wysoka, kształtna, zręczna, z nadzwyczajnym przepychem odziana.

Poruszenie podkanclerzyny było szybkie, lecz szybszą jeszcze odpowiedź Maryi Ludwiki.

„Uczynić Królowę Polską wspólniczką rabunku dokonanego w mężowskim domu!" rzekła z dumną ironią, kończąc mowę Anny; „dziękuję!..."

A zimne spojrzenie jéj zwykle ognistych oczu, na wskróś przeszyło śmiałą dwórkę.

Boleśnie dotknięta, błysnęła rozżarzonym wzrokiem, i jednym krokiem ku drzwiom się cofnęła, a na drgających ustach już stawały gorzkie wyrazy:

„Czy wiecie już Anno z Słuszków!" przerwała Królowa, „że mąż, za waszą sprawą od czci odsądzony, jeździ po obcych dworach, na kraj i Króla swego podbudzając sąsiadów?"

Anna spuściła oczy ku ziemi.

„Czy wiecie," mówiła daléj, „że jeżeli podkanclerzy trafi do Szwecyi, do któréj już się wybiera; jeżeli sprowadzi na kraj ten nieprzyjaciół, co go w gruzy i groby zamienią, to na was ciężar zgryzot spadnie i klęska powszechna!"

Zbladła Słuszczanka pochyliła się ku ścianie, a Marya Ludwika jakby w obawie zmiękczenia potrzebnéj surowości, wolnym krokiem ku przeciwnym drzwiom się zwróciła.

Po wązkich schódkach zeszła do ogrodu, pochyło, niekształtnie zstępującego ku Wiśle — tuż za nią młoda, znana nam już Paryżanka Marya Kazimiera de la Grange d'Arquin, która sama jedna miała przywiléj nieodstępowania Królowéj; postępowała lekkim krokiem, aż póki na zakręcie wązkiéj ulicy, oczy opiekunki na twarzy dziewicy, ręka na jéj ramieniu, nie spoczęła.

W milczeniu szły jeszcze czas jakiś; nieznacznie rozjaśniały się rysy Królowéj, świeże jesienne powietrze i ruch przechadzki dobroczynnie wpływały na jéj moralną i fizyczną istotę.

„Widzisz Marysiu!“ rzekła nakoniec; „widzisz, że to nie same szczęście pod purpurą — nie tylko wspierać, cieszyć, ale gromić, a nawet karać nie raz wypada.“

Panna d'Arquin znowu niedbale potrząsnęła głowę, i zaśmiała się figlarnie.

„Co tam! ale korona — to piękna rzecz.“

„Więc tobie się chce korony, jak widzę.“

„Koniecznie!“

„Koniecznie?“

„Choćby ślubnéj,“ dodała układnie Francuzka.

„Ta się znajdzie w swoim czasie.“

Przerwała się rozmowa; znowu chwil kilka obie Marye szły w milczeniu; — w końcu stanąwszy u głębokiego rowu, który ogród od Wisły oddzielał, Królowa siadła na kamiennéj ławce, postawionéj w cieniu lipy, wsparła się o pień starego drzewa, i zamyśliła głęboko.

Nie było to dumanie, bez celu ogarniające leniwego ducha w każdéj przydłuższéj spoczynku chwili. Marya Ludwika oddawna marzyć przestała; jeżeli puści bieg myślom, to przewiduje lub wspomina. I teraz oczy jéj utkwione w sinych falach szerokiéj rzeki, widziały w pamięci jak w zwierciedle odbity obraz niedawnego jéj wylewu; — zatopione szerokie pola, zwalone nadbrzeżne domki, rozpierzchnieni ich mieszkańcy, wszystko to wkrótce ponowić się mogło, a nie było środków położenia tamy zniszczeniu, bo sześcioletnie już z Chmielnickim walki, chłonęły skarby, zabierały ludzi zdolnych do pracy.

Wzniosła spojrzenie do góry — tam część zamku spalona przed kilkoma laty sterczała jeszcze w gruzach, bo Marya o sobie i swojéj wygodzie najmniéj i najpóźniéj myślała. Daléj wznosiły się nieskończone jeszcze mury klasztoru Karmelitek, błyszczała dzwonica ich kościółka, a tam od roku spoczywały zwłoki jéj córeczki Maryi Anny, tyle upragnionéj, tak gorzko opłakanéj przez matkę i Królowę! — Słowem, gdzie myśl zatrzyma, gdzie okiem powiedzie, wszędzie klęski i zawody spotyka — a przecież chociaż łza rosi źrenice, choć mimowolnym ruchem załamią się dłonie — dusza nie wątpi, serce nie upada, bo silna wiara wspiera odwagę niewiasty, bo jéj poświęcenie i ślachetna praca dla dobra ogółu, pewne są wyższego błogosławieństwa, chociaż ono może nie zaraz, może nie prędko się okaże. Marya Kazimiera szanując milczenie Królowéj, siadła opodal na murawie, i nazrywawszy garść żółtych nagietków, wiła z nich wieńce, mające na czas jakiś zastąpić tak pożądaną koronę — i myślała. — Któż zgadnie, co myślą podobne jéj dziewice?

Nagle zajęcie dwóch kobiet przerwał słaby głos, od Wisły pochodzący. Królowa odwróciła się szybko, i po drugiéj stronie ogrodowego rowu ujrzała średniego wieku mężczyznę, witającego ją uchyleniem czapki.

Człowiek ten mógł mieć około lat czterdziestu — twarz wynędzniała, naznaczona długą blizną, wskazywała wojownika; prawa ręka, wsparta na prostym kiju, ułatwiała niby trudy skaleczałéj i źle zawiniętéj nogi — lewéj nie było — a u próżnego rękawa nędznéj siermięgi uczepił się pięcioletni chłopczyna, jakby w zamiarze wspierania kaleki — o parę kroków daléj, łachmanami odziana dziewczynka, zbierała w szczątki fartuszka szczaw i lebiodę nad brzegiem rowu. Był to tak wyraźny obraz ciężkiéj niedoli, że nawet piękne panny d'Arquin lica obłoczkiem smutku się zasępiły — a Królowéj stanęły w umyśle wyrazy panny de Villers, że sroższe jeszcze musi być cierpienie tych, co o pomoc zawołać nie mogą.

Nędzarz uchyliwszy czapki, przemówił słabym, lecz bynajmniéj nie żebrącym tonem:

„Chciéjcie mnie objaśnić możne panie! bo z postawy i ubioru widzę, że do zamku należycie — jakim sposobem dostać się można do panny Villers.“

„Trzeba iść górą,“ rzekła prędko Kazimiera, „w pierwszéj bramie zamkowéj kogokolwiek o nią zapytać.“

„Tamtędy nie puszczają ludzi w takim ubraniu,“ odparł smutnie kaleka; „powiedziano mi, że ją czasem w ogrodzie spotkać można.“

„Nie zwodzono was,“ rzekła Królowa; „ja jestem panną de Villers — w czém mogę być wam pomocą?“

„Pani! tobie podobno poleciła Królowa wspomagać nieszczęśliwych. — Bóg widzi — że wolałbym umrzeć, niż z prośbą rękę wyciągnąć dla siebie — ale dla tych sierót — przychodzę błagać wsparcia Królowéj — bo walcząc za Króla zdrowie i szczęście straciłem.“

„To słusznie! Ja w téj chwili nic niemam przy sobie, a gdyby Królowa nie pojedyńczym datkiem, ale trwalszym jakim sposobem wesprzeć was chciała, gdzież i jak was znaleść?“

„Nazywam się Jan Godzięba, i stawię się wszędzie, gdzie łaskawa Pani rozkażesz.“

„Gdzież mieszkacie?“

„Nigdzie nie mieszkam Pani! — Czwarty już rok temu jak wyszedłem z domu, zostawiwszy tu żonę, te dwa robaczki (tu wskazał na dzieci) i jaki taki kawał chleba dla nich — a sam za panem Stefanem Potockim, którego familia zawsze na nas łaskawą była, poszedłem przeciw Bogdanowi.

„W moich oczach zginęło paniątko pod Żółtemi wodami. — Z wieścią o jego śmierci udałem się pod Korsuń do ojca jego, pana Mikołaja — byłem w bitwie, co się tam właśnie tego dnia stoczyła, i wraz z obudwoma Hetmanami dostałem się do niewoli.“

Z żywém zajęciem słucha Królowa opowiadania. Marya Kazimiera wiedząc, że od niéj zażądać może powtórzenia niektórych szczegółów, zapisywała w pargaminowéj książeczce nazwiska miejsc i osób, a żołnierz przysiadłszy na wielkim kamieniu, ponad rowem sterczącym, mówił dalej:

„Na szczęście moje byłem raniony, nie mogłem więc zajść aż do Pereasławia, boby mnie tam może tatarstwo było wraz z innymi utopiło; leżałem przez czas jakiś w nędznéj wioseczce; ale że tam ani straży, ani opieki nie było, kto mógł opuszczał to miejsce boleści; jedni ocaleli, drudzy pomarli, ale tam przynajmniéj, gdzie im się podobało, głowę położyć.“

„Jakżeście wy się aż do Warszawy dostali? bo widzę, że rany wasze ciężkiemi być musiały.“

„Nie tak bardzo, Pani! ale któż mnie miał opatrzyć? — felczery i cyrulicy byli przy wojsku, czasem się w miasteczku którego spotkało; a idąc wsiami, sam się tylko ratowałem, to krwawnikiem, to babką.“

„Czemuż się nie było gdzie zatrzymać?“

„Znać, żeście Panie od dawna w Warszawie! gdzież to dziś spocząć kalece? — Szpitale pełne — wsie puste — a jeżeli są mieszkańcy, to zgłodniali, schorzali, ledwie o sobie myślą — dzieci biedne błąkają się bez rodziców. Któżby tam o obcym miał staranie! — Prawda, że mnie to tu, to tam, ksiądz jakiś posilił, ale to się nie wiele zdało, bo szedłem ciągle, żeby przynajmniéj choć umrzeć przy swoich, a rany się zaogniały, aż póki w Białéjcerkwi ratując mnie od gangreny, regimentowy chirurg nieodciął mi ręki.“

„Biedny! biedny człowieku!“

„Cóż robić! alboż to ja jeden? Jak tylko można było puściłem się znów w drogę, bo mi coś ciągle szeptało, że się spieszyć potrzeba.

„Jakoż — przyszedłem w porę, żeby zamknąć oczy żonie, która wyniszczona chorobą, już tylko z miłosierdzia biednéj kumy z dziecinami żyła.“

I człowiek ten dopiero o najsroższych cierpieniach swoich opowiadający, zalał się łzami boleści na wspomnienie nędzy, w jakiéj towarzyszka jego życie skończyła, i sieroctwa, tłoczącego ukochane dzieci.

Po gładkich licach Maryi Ludwiki także się kilka łez stoczyło — wkrótce jednak dzielna niewiasta, więcéj działać, niż płakać przywykła, ogarniona nową myślą, powstała:

„Czekajcie tu chwilę!“ rzekła kalece, a sama szybkim krokiem zwróciła się ku zamkowi. — Po piaszczystych ścieżkach, wijących się stromo ku górze, postępowała spiesznie, tak spiesznie, że młoda Marya d'Arquin, ledwie jéj wydążyć mogła, a twarz jéj za każdym krokiem rozpromieniała się widocznie, znać wielki i piękny zamiar dojrzewał w umyśle. Zaledwie weszła do komnaty swojéj:

„De Villers!“ rzekła, „nad rowem ogrodowym siedzi wojownik, kaleka z dwoma sierotami — polecam ci go w szczególną opiekę.“

Jeszcze zacna jałmużniczka nie przestąpiła drzwi pokoju, gdy Królowa zawołała:

„Szukajcie mi pana Desnoyer! natychmiast. — Panie Desnoyer!“ przemówiła do wchodzącego, podnosząc jaśniejące oczy, pisz natychmiast odemnie do pana Arcybiskupa Paryzkiego de Gondi; powiedz mu, że go proszę, błagam, zaklinam, by jak najspieszniéj kilkanaście Siostr miłosierdzia przybyć tu mogło z Francyi.“

„Do panny Lamoignon i matki Anieli, ja

sama napiszę, one się skłonią do mojéj prośby, te święte dziewice, które się poświęciły wyłącznie, by wspierać, cieszyć, ratować; — a gdzież do tego obszerniejsze jak u nas pole!“

Tak wśród prac politycznych, wśród domowego smutku, między posłuchaniem dworskiém a królewską ucztą błysnęła myśl szczytna, myśl święta poruczenia nieszczęścia chrześciańskiemu poświęceniu; myśl ta wykonana szczęśliwie, od dwóch wieków błogie wydaje owoce; w przeciągu tych lat dwustu nie upłynął dzień jeden, żeby Siostry miłosierdzia nie otarły łez, nie złagodziły cierpienia w którejkolwiek stronie téj ziemi — a czyny ich ciche piękniejszym są dla Maryi Ludwiki pomnikiem, jak posągi lub obrazy postać jéj przypominające.

Zamiar sprowadzenia Siostr miłosierdzia jak szybko powzięty, tak téż i wykonanym został; — tegoż samego jeszcze roku 1652 pobożne dziewice przybyły do Warszawy, i w gotowym już klasztorze przy ulicy Tamka osadzone zostały.

2. *Widok na Wisłę.*

Mało która stolica Europejska posiada w obrębie swoim tyle ogrodów, ile nasza Warszawa; nie licząc ogrodów publicznych, ileż to prywatnych ogródków i ogrodów znajduje się przy domach najludniejszych ulic! — Za każdym prawie domem Leszna, ulic: Marszałkowskiéj, Elektoralnéj, a nadewszystko pysznego Nowego-Świata, znajdziesz mniejszą lub większą przestrzeń, zasadzoną drzewami, kwiatami zasianą, miłą zielonością, nagradzającą Warszawianom uliczną kurzawę, duszne mieszkania, i rozpalone słońcem kamienie brukowe.

Między znaczniejsze takie ogrody, policzyć należy stary zwierzyńczy, *Foksalem* zwany, w którym przed laty odbywały się często illuminacye, bale, puszczanie balonów, koncerta, i rozmaite publiczne zabawy, lecz dziś uroczy ciszą i powagą, na prywatną własność przeszedłszy, tylko już lubowników chłodu i spokoju do siebie nęci. Obszerny i długi dziedziniec, po obu stronach winem zasadzony, odgranicza go na zachód od domu Nr. 1730. na Nowy-Świat wychodzącego, od którego zależy; na wschód zaś rozciąga się on na obszernéj, wyniesionéj płaszczyźnie po nad ulice Nadwiślańskie, i tworzy niby ogromny taras, z jednéj strony otoczony żywym płotem z bzu i głogu, co jakby wspierając się wzajemnie pną się gęsto po stromym i urwistym brzegu od strony Wisły; niski mur służy mu za poręcz, a w tym obwodzie ulice z ogromnych lip, klonów i kasztanów, nawet w śród najmocniejszych upałów, tworzą schronienie nieprzystępne natrętnym słońca promieniom.

W rogu tego ogrodu, najbardziéj ku północy zwróconym, przypadkiem, czy umyślnie utworzony wznosi się nie wielki wzgórek, ocieniony drzewami, a na nim prosta drewniana ławka z poręczami od przepaścistego brzegu; — proste to miejsce zdaje mi się najkorzystniejszém dla chciwego pięknych widoków wzroku, a okoliczność ta, że je rzadko niezajętém zastać można, zdaje się potwierdzać mniemanie moje.

(Dokończenie nastąpi.)

Rozmaitości.

W roku 1224 król Angielski pierwszy raz spał na sienniku — do tego zaś czasu sypiał na desce. W roku 1246 domy w Londynie były wszystkie słomą pokryte, a w roku 1260 nie miano jeszcze w témże mieście pieców i kominów. W roku 1340 płacono adwokatom i sędziom pieprzem i cynamonem.

Ludwik Bonaparte, teraźniejszy Prezes Rzeczypospolitéj Francuzkiéj, zamieszkuje w pałacu Elisée-National, dawniéj Elisée-Bourbon zwanym. Na początku zeszłego wieku był on własnością familii Evreux. — Od niéj kupiła go Pompadour, kochanka Ludwika XV. W rewolucyi stał się własnością narodową — za cesarstwa nabył go Murat. Dla Ludwika i familii smutne wzbudza wspomnienia. W nim to Napoleon, po bitwie pod Waterloo, krótki czas przebywał — żegnał się z matką Ludwika, Prezesa Rzeczypospolitéj, i zrzekał się korony cesarskiéj.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: X. *Fr. Wawrowski.*)